

Rozdział 1

Odkąd Bridet był w Lyonie, szukał sposobu, żeby przedostać się do Anglii. Nie było to łatwe. W ciągu dnia biegał wszędzie tam, gdzie miał szansę spotkać przyjaciół, których tu dotąd nie widział. Zaglądał do piwiarni w pobliżu starego teatru, gdzie spotykali się dziennikarze nazwani „zesłanymi”, spacerował po ulicy Republiki, wypatrując znajomych twarzy na tarasach kawiarni, kilka razy dziennie wracał do hotelu z nadzieją, że znajdzie tam list, propozycję spotkania, wreszcie jakiś znak z zewnątrz.

Ale w tym tłumie, który najechał miasto, wobec trudności, jakich doświadczali wszyscy, pośród wszystkich tych ludzi, którzy w Paryżu, nawet jeśli się znali, nie spotykali się z sobą, nie było miejsca na żadne odruchy solidarności. Ściskano sobie dłonie, próbując sprawiać wrażenie, że dziesiąte spotkanie cieśzy nas tak samo jak pierwsze, ubolewano nad straszną katastrofą, udając wiarę w to, że nieszczęście raczej łączy, niż dzieli, ale gdy tylko przestając mówić o powszechnej biedzie, próbowałeś zainteresować kogoś własnym mało istotnym przypadkiem, zderzałeś się ze ścianą.

Wieczorem Bridet wracał wykończony. Żeby zachować pokój, co tydzień musiał sprawiać pozory, że wyjeżdża; hotele były zarezerwowane dla ludzi w podróży. „To jednak śmieszne — myślał — że po trzech miesiącach wciąż nie znalazłem sposobu, żeby się ulotnić. To staje się wręcz niebezpieczne”. Wszyscy zaczynali w końcu podejrzewać, że zamierza wyjechać. Nic tak nie zdradza naszych ukrytych zamiarów, jak długotrwała bezradność. Gdy stale o coś prosimy, nie otrzymując niczego, inni mogą pomyśleć, że nigdy nam się nie uda, że należymy do tej trochę śmiesznej kategorii ludzi, których pragnienia przerastają ich możliwości.

4 września 1940 roku Bridet obudził się wcześniej niż zwykle. W hotelu Carnot zajmował niewielki pokój, numer 59, ostatni. Okna wychodziły na plac Carnota, naprzeciwko dworca Per-rache. Przez całą noc słyszał przejeżdżające pociągi. Francuzi nigdy tak dużo nie podróżowali. Przed świtem usłyszał pierwsze tramwaje. A więc życie toczyło się jak dawniej! A więc robotnicy nadal zmierzali do pracy! I to regularne życie, z którym kojarzyły się uderzające o siebie o świcie wagony i stukot żelaznych kół na szynach, było dosyć przygnębiające.

Słońce wzeszło, ale jeszcze nie uniosło się ponad domy po drugiej stronie placu, a jego promienie, które nie spoczywały na niczym, które rozchodziły się po prostu w przestrzeni, nadawały niebu wiosenny wygląd. Nagle, na suficie, spoczęło blade złociste światło. Bridet wspomniał wakacyjne poranki i poczuł ucisk w sercu. Życie wciąż było tak samo piękne. On też miał chęć podróżować. Ale co lepszego znalazłby w Awinionie, Tuluzie, Marsylii? Wszędzie panowała duszna atmosfera. Mogłeś pojechać gdziekolwiek, wszędzie przytłaczała cię obecność coraz liczniejszej policji. Każdy funkcjonariusz szedł w asyście innego, czasem nawet cywila, któremu tak spieszo było podjąć służbę, że nawet nie czekał, aż mu dadzą mundur.

— Brzydzi mnie to, jednak powinienem zobaczyć się z Bas-sonem — wyszeptał Bridet. Co dzień powtarzał sobie, że musi pojechać do Vichy. Miał sobie za złe, że czekał zbyt długo. Całe lato przesiedział w wioskach departamentów Puy de Dôme, Ardèche, Drôme, licząc nie wiadomo na co, a teraz miał wrażenie, że to, co mógłby zrobić w zameczku, jaki powstał po podpisaniu zawieszenia broni, z dnia na dzień staje się coraz trudniejsze.

Miał przyjaciół, choćby Bassona. Mógłby załatwić mu jakąś misję, paszport. Poza granicami Francji Bridet dałby sobie radę. Anglia nie była przecież nieosiągalna.

— Muszę koniecznie zobaczyć się z Bassonem — powtórzył. — Tylko trzeba będzie dobrze to rozegrać. Mówić wszystkim, że chce służyć Rewolucji Narodowej.

„Czy mi uwierzą?” — zamyślił się. Właśnie sobie przypomniał, że mówił bardzo dużo, że przez długi czas nie krępował się mówić, co myśli, że jeszcze dziś czasem nie może się powstrzymać. Jak dotąd to gadulstwo zdawało się nie mieć żadnych konsekwencji, lecz oto nagle, w chwili gdy należało działać, odnosił wrażenie, że cały świat zna jego plany. Pomyślał więc, by dodać sobie odwagi, że w gruncie rzeczy ludzie nie oceniają nas na podstawie tego, co powiedzieliśmy kiedyś — sami powiedzieli zbyt wiele — ale na podstawie tego, co mówimy w obecnej chwili. Należało tylko stać murem za Marszałkiem. To wspinały człowiek. Ocalił Francję. Dzięki niemu Niemcy darzą nas szacunkiem. Wzniesli się ponad swoje zwycięstwo. My wznieśliśmy się ponad porażkę, co pozwoliło naszym dwóm narodom rozmawiać z sobą niemal jak równy z równym. Oto co należało mówić. W obecności jakiegoś zapaleńca można było posunąć się jeszcze dalej. Gdyby każdy Francuz zajrzał w głąb siebie, gdyby miał dobrą wolę, musiałby przyznać, że po podpisaniu zawieszenia broni poczuł ogromną ulgę.

„Byliście w drodze, a teraz jesteście w swoich domach” — stwierdził Marszałek. Wystarczy, że Bridet powie to samo. Nie powinien mieć żadnych skrupułów, oszukując tego rodzaju ludzi. Może powiedzieć im byle co. Później, kiedy już dołączy do de Gaulle’a, powetuje to sobie.

Ubrał się i wyszedł. Sto metrów dalej wszedł do kolejnego hotelu, by jak zwykle złożyć krótką poranną wizytę żonie.

Słynny afisz z trójkolorową flagą i nakreśloną pośrodku głową Marszałka — ujętą lekko z ukosa, aby podkreślić skromność, z przypiętym sztywnym kołnierzykiem, w nieprzechylonym

ani trochę kepi i z tym wyrazem głębokiej uczciwości, lekkiego rozgoryczenia, stanowczości niewykluczającej dobroci, co kiepscy artyści potrafią oddać tak dobrze — zakrywał wielkie centralne lustro.

Jolanda też znalazła sobie pokój. Podobnie jak pokój męża był za mały, by mogli tu spać we dwoje. Zresztą Bridet nie był z tego powodu zbyt nieszczęśliwy. Czuł się tak przybity, że wołał być sam. Bardzo kochał żonę, ale od chwili podpisania zawieszenia broni trochę się oddalił, choć nie do końca świadomie. Nagle zaczęła zdradzać chęci, pragnienia, których już nie podzielał. Ją też dotknęła klęska i zdawała się teraz dostrzegać, że są w życiu ważniejsze sprawy niż wzajemne zrozumienie w małżeńskim związku.

Niepokoilią się o rodzinę, która została w Paryżu, a przecież latami się o nią nie troszczyła. Nie mogła się doczekać spotkania z ludźmi, którzy dotąd byli jej obojętni. Ciągłe mówiła o butik z damską konfekcją przy ulicy Saint-Florentin, o swoim mieszkaniu, jak gdyby żyła w nim sama. Bridet czuł, że z wolna staje się w jej oczach nie kimś obcym, ale jedną z tych osób, które trochę zaniedbujemy, bo pomimo miłości, którą nas darzą, nic nie mogą już dla nas zrobić. I w głębi duszy uważał, że ma rację, tak go oceniając. Faktycznie nie mógł nic dla niej zrobić. Dopóki istniała armia, będąc jej częścią, stawał w obronie żony. Teraz już jej nie bronił. Nie mógł pójść zamiast niej, żeby wystąpić o ausweis, nie mógł jej znaleźć zwykłego pokoju ani zamówić taksówki, nie mógł wysłać pieniędzy jej rodzinie w Paryżu ani zająć się sklepem, nie mógł zupełnie nic. Wiedziała o tym i stopniowo przywykła liczyć tylko na siebie.

Usiadł obok. Nigdy dotąd nawet nie wspomniał, że pragnie wyjechać.

— Posłuchaj, Jolando. Muszę z tobą poważnie porozmawiać.

Spojrzała na niego, jakby nie dostrzegając, że jest bardziej zasadniczy niż zwykle. W holu było sporo ludzi. Trzeba by mówić szeptem, co chwila się rozglądając.

— Chodź — rzekł Bridet — tam będzie trochę spokojniej. Jolanda wstała. Poszli się obok siebie w głębi holu.

— Rozmyślałem przez całą noc — powiedział Bridet. — Muszę się zobaczyć z Bassonem.

Jolanda zachowała milczenie. Bridet się ożywił. Miał tego dość. Żałował, że nie zrobił tego wcześniej. Teraz już podjął decyzję. Pojedzie zobaczyć się z Bassonem. Będzie udawał, że rozmawia z nim szczerze. Powie mu, że podziwia Marszałka... Poprosi go o wsparcie. Basson to stary kumpel. Na pewno mu nie odmówi. Ale gdy zawiedzeni i nieszczęśliwi spędzamy całe miesiące razem, snujemy plany, choć w naszym życiu nic nie ulega zmianie, mówimy tak wiele rzeczy, że kiedy w końcu podejmujemy decyzję, nagle uświadamiamy sobie, że nikt nie ma powodu nam wierzyć.

— Zwariowałeś! — stwierdziła.

Bridet odparł, że dobrze to przemyślał.

— Podziwiam Marszałka — powtórzył głośno.

— Nikt ci nie uwierzy — powiedziała mu Jolanda na ucho. — Wydaje ci się, że ludzie to idioci. Zostaniesz aresztowany. Wszyscy wiedzą, co myślisz. Dość już powiedziałaś. Dlaczego się upierasz? Dlaczego nie chcesz, żebyśmy wrócili do Paryża?

Idąc bez celu przez miasto, Bridet zadawał sobie teraz pytanie, czy powinien zobaczyć się z Bassonem, czy nie. Są komedie, których nie jesteśmy w stanie odegrać, nawet jeśli od tego zależy nasza przyszłość. Nie możemy powiedzieć, że lubimy tych, których nienawidzimy. Gdybyśmy to zrobili, zorientowano by się, że kłamiemy. Więc co robić? Wrócić do Paryża? Posłuchać Jolandy? Grzecznie pokazać papiery szwabom, przekraczając linię demarkacyjną? Ujrzeć wszędzie swastyki łopocące nad opustoszałym Paryżem? Jolanda mówiła, że nie będzie złą Francuzką, sprzedając Niemcom kapelusze, by wysyłali je swoim żonom. Zarobi dużo pieniędzy, a przecież zawsze twierdził,

że brak mu spokoju, żeby napisać książkę, cóż, wreszcie będzie miał spokój... To było obrzydliwe.

Jednak Jolanda go kochała. Była gotowa zrobić dla niego coś, czego wcześniej na pewno by nie zrobiła. Uważała, że dziś to kobiety powinny grać główną rolę, stanąć na czele, tak by mężczyźni odeszli w niepamięć i mogli przetrwać do dnia, gdy znów chwycą za broń.

Wieczorem, w swoim pokoju, Bridet poczuł, że ma gorączkę. Był cały rozpalony. Od czasu do czasu odnosił wrażenie, że zaraz dostanie dreszczy. Ale nie miał dreszczy. Ta dolegliwość przypominała inną, której pierwsze objawy poczuł przed miesiącem. Często mu się zdawało, że za chwilę dostanie zawrotów głowy. Już szukał wzrokiem jakiejś ławki, krzesła. Ale nie miał zawrotów głowy, choć wcale nie czuł się z tego powodu lepiej.

Na dworze mistral zaczął wiać z nadzwyczajną mocą. Sirocco, mistral, genewska *bise noire*, w tych wszystkich budzących trwogę wichrach jest coś, co odróżnia je od zwykłego wiatru, bo nagle, w spokojnym domu, drzwi szaf, wychodzące na małe podwórka okna, nawet przedmioty, które na pozór są w bezpiecznych miejscach, zaczynają dygotać.

Bridet słyszał jakieś tajemnicze odgłosy. „Co robić?” — zadawał sobie pytanie. Wydało mu się, że słyszy kogoś za drzwiami. Nie mógł przestać myśleć o Bassonie. Może to najbardziej przykra rzecz, jaka może się przydarzyć dumnemu mężczyźnie — zależeć od przyjaciela, którego lekceważył, w którego nigdy nie wierzył, któremu jednak rozwój wypadków wydaje się przyznawać rację, składając nasz los w jego dłonie.

W końcu Bridet zasnął. Nazajutrz rano miał wsiąść do pociągu.

Rozdział 2

Gabinet Paula Bassona mieścił się w pokoju Hotelu u Celestynów, w którego obu oknach wisiały firanki z białego muslinu. Paul Basson był od miesiąca attaché Generalnej Dyrekcji Policji Narodowej. Kiedy Bridet wszedł, wstał i zbliżył się, żeby uściśnąć dłoń koledze z czasów studiów i pracy w dziennikarstwie.

Bridet poczuł wówczas to zakłopotanie, jakie wzbudza w nas ktoś, kto kiedyś był zależny od innych tak samo jak my, gdy nagle się okazuje, że jest rzutki i dysponuje władzą. Na biurku nie było żadnych papierów, akt, tylko bukiet goździków w kryształowym wazonie. Bridet usiadł w fotelu. Basson nigdy nie dbał o wystrój swego pokoju, a teraz woń kwiatów przesycała powietrze w jego policyjnym gabinecie. Ten szczegół zdradzał niepokojący stan ducha.

— Przyjechałem się z tobą zobaczyć — rzekł Bridet — żeby poprosić cię o wsparcie.

— To całkiem normalne. Co u ciebie?

— Nic takiego.

Basson zerknął przez okno na trawniki i drzewa parku. Kto by pomyślał, że zawieszenie broni podpisano zaledwie cztery miesiące temu. Niczym niezłomny wdowiec odmienił swoje życie. Dom był nowy. Czuł się w nim trochę jak na wystawie, w przeddzień inauguracji. To było naturalne po tak wielkim nieszczęściu.

— Oto co mnie sprowadza — powiedział Bridet. — Chcę służyć krajowi. Chcę być użyteczny. Marszałek wziął nasze losy w swe ręce. Nie mamy prawa dłużej się zastanawiać, czy lubimy, czy nie lubimy tego, kto nami rządzi. Przyjmijmy go, jakim jest. Jeżeli o mnie chodzi, jestem przekonany, że Pétain ocali nas wszystkich.

W tym momencie Basson dość niespodziewanie okazał zniecierpliwienie. Rzucił dwa czy trzy luźne słowa, przerwał, wreszcie powiedział lodowatym tonem:

— Nie mów o Marszałku.

Bridet spojrzał na niego zaskoczony.

— Dlaczego?

— Pozwól, że zwrócę ci na coś uwagę. Nigdy nie mów o Marszałku. Nigdy nie mów, że trzeba brać z niego przykład. Pomyśl, że jesteś przeciwko niemu. A byłoby to dla mnie bardzo przykre.

Bridet zrozumiał, że zachował się niezręcznie. Skoro przyjechał zobaczyć się z Bassonem, było czymś oczywistym, że popiera rząd. Wszelkie wyjaśnienia były zbędne i mogły rodzić podejrzenie, że się usprawiedliwia.

Basson poszedł usiąść za biurkiem.

— Czego ode mnie oczekujesz? — spytał, jakby nic się nie stało.

— Już sam nie wiem, jak mam z tobą rozmawiać... Nie sądziłem, że robię coś złego...

— Zostawmy to, proszę. Czego ode mnie oczekujesz?

— Mówiłem ci, że pragnę służyć krajowi. I pomyślałem, że na przykład można by mnie wysłać z misją do Maroka, mógłbym pracować nad, jak to się mówi, zacieśnianiem więzi Metropolii z Imperium.

— Dlaczego: „jak to się mówi”?

— Nie wiem. Zacieśnianie więzi to zwykłe określenie. Szokuje cię?

— A dlaczego właśnie do Maroka?

— Do Maroka albo gdzie indziej. Wszystko mi jedno.

— Chcesz stąd wyjechać?

— Nie. Mam po prostu wrażenie, że tutaj jestem bezużyteczny.

— Mylisz się. Możesz się okazać bardzo użyteczny. Mamy przed sobą gigantyczne zadanie. Nigdy nie będziemy zbyt liczni, by odbudować Francję.

— Podzielam twoje zdanie.

— Ty! Podzielasz moje zdanie!

— Tak.

Basson spojrzał na przyjaciela tak, jak ksiądz mógłby spojrzeć na wodewilowego artystę.

— Nie wiedziałem, że tak bardzo obchodzi cię przyszłość ojczyzny — ciągnął Basson.

— Nie obchodziła mnie, ale zdarzyły się pewne rzeczy, które mnie odmieniły.

— Więc chcesz odbudować Francję!

— Chcę zrobić to, co mogę.

— W gruncie rzeczy nie bardzo wiesz, co chcesz robić.

— Może masz rację...

— Ale jedno wiesz na pewno, chcesz opuścić Francję.

— Nie.

— Sam to przed chwilą przyznałeś.

— Powiedziałem, że chcę służyć krajowi.

Basson trzymał w palcach ołówek automatyczny. Kreślił na kopercie wielkie litery. I mówiąc, wydawał się tym całkowicie zajęty.

— Naprawdę chcesz służyć naszemu krajowi?

— Naturalnie. Gdybym tego nie chciał, nie przyjeżdżałbym tutaj, żeby się z tobą spotkać. Siedziałbym sobie spokojnie u matki w Berry.

Wydawało się, że ten argument zastanowił Bassona.

— A zatem chcesz wyjechać! — powiedział.

— Myślę, że jest w interesie rządu wysłać sprawdzonych ludzi do kolonii.

Basson nadal rysował.

— A Jolanda?

— Jest w Lyonie. Oboje jesteśmy w Lyonie. Już ci mówiłem.

— Pojechałaby z tobą?

— Och, nie sądzę. Wiesz, że ma sklep. Chce wrócić do Paryża.

— A ty nie chcesz?

Bridet zdał sobie sprawę, że znów musi skłamać.

— Może tak właśnie zrobię, jeśli znudzi mi się mieszkanie u matki i jeśli nie wyjadę.

— Nie rozumiem jednego: dlaczego nie pracujesz dla gazet? Przecież wszystkie są teraz w Lyonie.

Wymawiając te słowa, Basson kilka razy zamknął powieki, jakby bolały go oczy.

— Trochę mnie to brzydzi — rzekł Bridet. — Te wszystkie gazety prowadzą podwójną grę.

Basson po raz pierwszy uniósł głowę.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytał.

Bridet nie ośmielił się mówić o Marszałku.

— Nie są szczerze — odparł.

— Chcesz powiedzieć, że wcale nie są po naszej stronie, tylko udają.

— Właśnie.

— I to cię brzydzi?

— Naturalnie. Gdyby nie to, nie siedziałbym teraz w twoim gabinecie.

— Naprawdę budzi to w tobie obrzydzenie?

— Już ci mówiłem.

— Tak, wiem. Może masz rację.

Bridetowi zrobiło się niedobrze. Rozejrzał się wokół. Czy będzie mógł za chwilę stąd wyjść? Czy nie jest to gabinet jednego z szefów policji? Czy Basson naprawdę jest jego przyjacielem?

— Więc chcesz pojechać właśnie do Maroka? — zapytał Basson.

— Tak, chcę pojechać do Maroka — odparł Bridet, nie myśląc o tym, co mówi.

Czy nie powinien był przed chwilą stwierdzić wyraźniej, że jest za Pétainem? Uwaga Bassona go powstrzymała. Czuł, że tu słowa nie mają żadnej wartości. Trochę tak jak w sądzie. Należało jednak postawić sprawę jasno.

— Powiedziałeś przed chwilą — podjął Bridet — że sprawia ci to przykrość, gdy mówię o Pétainie. Ale zapominasz, że nie widzieliśmy się od tak dawna. Nie wiesz, co myślę. A ja chcę, żebyś wiedział.

Basson się uśmiechnął.

— Stwierdzam, że jesteś podenerwowany.

— Mam powody. Wygląda na to, że we mnie wątpisz.

— Ja? Wątpię w ciebie? Tak ci się wydaje. Chyba wiesz, że gdybym żywił najmniejsze podejrzenie co do twojej szczerości, nie siedziałbyś tu, w moim gabinecie.

Bridet poczuł skurcz w żołądku. On też uśmiechnął się odruchowo.

— Masz rację. Jestem zdenerwowany. Miałem tyle kłopotów...

— O tak, i to jakich! Wiem coś na ten temat.

Basson wstał. Wsunął do kieszeni papierosa i zapalniczkę, jakby zamierzał wyjść. Potem znów usiadł. Teraz z kolei Bridet podniósł się z fotela.

— Nie idź jeszcze — powiedział Basson. — Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Bridet ponownie usiadł. Patrzył na przyjaciela z lekkim niepokojem.

— Coś bardzo ważnego — ciągnął Basson.

— Co takiego? — spytał Bridet.

— Chciałbym ci dać radę, przyjacielską radę.

— Chciałbyś mi dać radę?

— Tak. A brzmi ona: uważaj.

Bridet poczuł, że jego ślina robi się gorzka.

— Dlaczego? — spytał, udając głębokie zdziwienie.

— Powtarzam ci: uważaj.

— Ale dlaczego?

— Uważaj i nie rób z siebie idioty.

— Coś mi grozi?

— Coś ci się przydarzy.

— Mnie?

— Tak, tobie.

— Niby co? Dlaczego?

— Jesteś dość inteligentny, żeby mnie zrozumieć. A teraz pomówmy o czymś innym. Czy Jolanda przyjedzie tu do ciebie?

— Co mi się przydarzy? Musisz powiedzieć mi, o co chodzi.

— Nie, nie. Pomówmy o Jolandzie.

W tej chwili rozległ się cichy, stłumiony dzwonek wewnętrznej linii telefonicznej. Basson rozmawiał z kimś przez chwilę i, jakby Bridet mu przerywał, wielokrotnie dawał mu znak, żeby nie nalegał, że i tak nic mu nie powie.

— Niech wejdzie — powiedział w końcu i odłożył słuchawkę.

Po czym zwrócił się do Brideta:

— Muszę kogoś przyjąć. Wyjdź, proszę, i zaczekaj chwilę w salonie. Każę ci zawołać, kiedy będę wolny.

— Wyjaśnisz mi, co chciałeś powiedzieć?

— Nie, nie, już ci mówiłem. Porozmawiamy o Jolandzie, o naszych przyjaciółkach, o wszystkim, byle nie o polityce.

— Chodzi o politykę?

— Nie zadawaj mi żadnych pytań, nie zamierzam ci odpowiadać.

Bridet usiadł w salonie, gdzie czekały już cztery czy pięć osób. Miał czoło zroszone potem. Dłonie lekko mu drżały. Położył je na udach, by nikt tego nie zauważył. Ciągłe drżały. Schował je pod kapeluszem. Co miał na myśli Basson? Bez przerwy zadawał sobie to pytanie.

„Nic nie zrobiłem — myślał. — Rzecz jasna, dałem wielu ludziom do zrozumienia, że chcę wyjechać do Anglii, ale ci ludzie też chcieli się tam przedostać. Zresztą nie ma ich wielu. Może dziesięciu. Założmy, że były jakieś plotki, że są jakieś moje akta, Basson, nie spodziewając się tej wizyty, nie miał powodu, żeby o nie prosić. Może ktoś mu powiedział, że jestem gaullistą. Ale nikt nie mógł dostarczyć mu dowodów. Ja sam nigdy wprost nie stwierdziłem, że jestem gaullistą. Powiedziałem, że wyjadę do Anglii i dołączę do sił Wolnej Francji. To wszystko. Basson chyba wyczuł, że nie popieram Marszałka. Kiedy powiedział, że coś mi się przydarzy, pewnie na myśli miał to, że tracę czas,

podając się za kogoś, kim nie jestem, że to nie działa i w końcu ta komedia może się dla mnie źle skończyć. Może myśli, że przyjechałem do Vichy na przeszpiegi. Chyba że — a to byłoby znacznie groźniejsze — sam Basson jest w głębi duszy gaullistą. Może chciał dać mi do zrozumienia, że mój podziw dla narodowej rewolucji kiedyś może mnie drogo kosztować”.

Bridet na próżno łamał sobie głowę — nie mógł zrozumieć, co miała znaczyć aluzja Bassona.

„Zaraz go o to spytam i będę nalegał tak długo, aż mi odpowie, a jeżeli nie zechce mi odpowiedzieć, cóż, to będzie koniec przyjaźni między nami. Tak czy owak znajdę sposób, żeby stąd wyjechać. Nikt nie jest niezastąpiony”.

Bridet był pogrążony w myślach, gdy człowiek z gołą głową, dość młody, wszedł do salonu.

— Pan Bridet? — zapytał.

— To ja, to ja — rzekł Bridet, prostując tors.

— Będzie pan uprzejmy pójść za mną — ciągnął młody człowiek.

— Oczywiście — rzekł Bridet, dość dumny, że spośród czekających osób, które przyszły tu wcześniej, wchodzi jako pierwszy.

— Pan Basson już skończył? — zapytał Bridet w korytarzu.

— Nie widziałem go.

— Jak to?! To nie on pana przysłał? — spytał Bridet, nagle przeszyty dreszczem.

— Nie wiem.

— Ale dokąd idziemy? Nie mogę się oddalać. Pan Basson na mnie czeka.

— Idziemy tuż obok, do wydziału algierskiego.

— Ach, tak! — rzekł Bridet, głęboko wzdychając wbrew samemu sobie.

Teraz wszystko stawało się jasne. Basson to jednak prawdziwy przyjaciel. Wzbudził w nim lekki niepokój, bez powodu, dla żartu, taki miał kaprys. Bridet przypomniał sobie w tej chwili, że Basson zawsze się tak zachowywał. Lubił odmawiać,

gdy się go o coś prosiło, był niechętny i tajemniczy, a potem, gdy przestawałeś już na niego liczyć, okazywało się, że zrobił więcej, niż się spodziewałeś. Nic a nic się nie zmienił. „Uważaj, bo coś ci się przydarzy, zaczekaj na mnie w salonie...”. A potem zrobił, co należało.

Bridet i urzędnik szli długim korytarzem, podzielonym drzwiami, na których widniały numery na emaliowanych tabliczkach. Gdy któreś się otwierały, widać było urzędników, maszyny do pisania, a wzdłuż ścian ogromne sterty papierzysek i akt, które przebyły długą drogę i musiało w nich brakować ważnych dokumentów.

— Proszę wejść — rzekł urzędnik, otwierając drzwi i usuwając się na bok z nieco machinalną grzecznością.

Bridet znalazł się w pokoju wyłożonym beżową wykładziną. Stały tam tylko stół i krzesło.

— Proszę usiąść, zobaczę, czy dyrektor może pana przyjąć.

— Dyrektor? — spytał Bridet.

— Pan de Vauvray, dyrektor.

— Ach, tak! Cóż, zatem usiądę — rzekł Bridet, który znów źle się poczuł.

Minęło kilka minut.

„Jest jednak coś, czego zbyt dobrze nie rozumiem — pomyślał Bridet. Basson prosił, żebym poszedł czekać w salonie, bo musi kogoś przyjąć. Kiedy znalazł czas, żeby pomówić z tym panem de Vauvray? Mam wrażenie, że to wszystko dzieje się trochę zbyt szybko”.

Otworzyły się przejściowe drzwi do sąsiedniego pokoju i urzędnik, nie ruszając się z miejsca, dał Bridetowi znak, by się zbliżył. To drugie pomieszczenie było o wiele większe i wyglądało na prywatny gabinet.

Pan de Vauvray, gdyż był to z pewnością on, stał odwrócony plecami do drzwi. Trzymał ręce w kieszeniach. Patrzył przez okno, jakby przez nieśmiałość czy z obawy, by nie wyglądać na zakłopotanego, wołał nie widzieć swych gości, nim nie zbliżyli się do jego biurka.

— Oto pan Bridet, panie dyrektorze — powiedział urzędnik.

Odwrócił się, wyglądał na zupełnie zaskoczonego, jakby nic nie usłyszał, wyjął ręce z kieszeni i z uśmiechem ruszył swojemu gościowi naprzeciw.

— Ach, to pan — powiedział. — Bardzo mi miło pana poznać. Proszę usiąść, zapalić papierosa.

Potem, zwracając się do urzędnika, dodał:

— Może pan odejść.

Dyrektor był młody, miał najwyżej dwadzieścia pięć lat, ale w przeciwieństwie do innych urzędników w tym wieku raczej nie wyglądał na kogoś, kto bierze siebie zbyt serio. Był serdeczny, bezpośredni, dało się wyczuć, że w swoim otoczeniu musi uchodzić za oryginała. To było krępujące.

— Cieszę się, że mogłem pana poznać — powtórzył, ale tym razem uzupełniając te słowa energicznymi gestami, żeby podkreślić ich wartość.

— Ja również, proszę pana — powiedział Bridet.

— Nasz przyjaciel Basson długo mi o panu opowiadał. („Kiedy?” — znów zadał sobie pytanie Bridet). Nie muszę panu mówić, że jestem całkowicie do pańskiej dyspozycji, ale chcę, by pan wiedział, że Maroko nie podlega służbom wewnętrznym. Podlega Ministerstwu Spraw Zagranicznych. Gdyby zależało panu na wyjeździe do Algierii, powinien pan zwrócić się do mnie. I w tym przypadku, powtarzam, jestem do pańskiej dyspozycji.

— To niezwykle uprzejme z pana strony — odparł Bridet.

— To naturalne. Jest pan przyjacielem pana Bassona. Ja też jestem jego przyjacielem. Jeśli możemy jakoś panu pomóc, będziemy szczęśliwi. Kiedy chce pan wyjechać?

— Za jakieś dwa tygodnie. Zbyt mi się nie spieszy...

— No proszę, a myślałem, że przeciwnie, bardzo się panu spieszy, pan Basson zdaje się mówił, że...

— Nie, ani trochę. Wcale mi się nie spieszy. Zresztą wyjadę tylko wówczas, jeśli na miejscu będę miał co robić. Właśnie, muszę jeszcze powiedzieć o tym z Bassonem.

— Wobec tego nie ma pośpiechu.

— Nie, nie ma pośpiechu.

— Cóż, wie pan, co zrobimy? Skoro już pan tu jest, przejdzie pan do pokoju obok i poda młodemu człowiekowi, którego już pan widział, niezbędne informacje. Och, nic takiego, zwykle formalności. Potem zrobimy wszystko, co trzeba, a pan po prostu przyjdzie, żeby odebrać glejt. Sam pan widzi, nie ma nic prostszego.

Po wyjściu z gabinetu urzędnika, pan Bridet poprosił woźnego, żeby zapowiedział jego wizytę panu Bassonowi. Wypełnił druczek i czekał. Woźny wrócił niedługo potem. Trzymał druczek w dłoni.

— Pan Basson wyszedł — powiedział.

Bridet poszedł usiąść nad brzegiem rzeki Allier. Dzień był cudowny. Drzewa zaczynały żółknąć. Niebo miało barwę gęstego, ciężkiego błękitu i na tym błękicie słońce jaśniało jeszcze większym blaskiem.

„W gruncie rzeczy uzyskałem wszystko, czego chciałem” — myślał Bridet. Ale to go nie cieszyło. Czuł, że ciąży nad nim niebezpieczeństwo, niebezpieczeństwo, od którego nie może się uwolnić, gdyż w jakimś sensie jest więźniem podjętych już kroków. Nie może wyjechać. Musi czekać na papiery, które mu wystawią, inaczej jego zachowanie uznano by za dziwne. Ale podczas tego oczekiwania wszyscy będą wiedzieli, gdzie jest, będą mogli po niego przyjść, był na łasce policji. A najgorsze, że musiał zachowywać się tak, jakby niczego nie zauważył, musiał odgrywać komedię spokojnego sumienia, niczym się nie zdradzić, udawać, że cieszy go tych kilka dni oczekiwania, jakby to były wakacje...

„Pomyśleć, że byłem tak głupi, by powiedzieć, że mi się nie spieszy”.

Przez chwilę się zastanawiał, czy nie wrócić do ministerstwa. Ale nic nie jest tak kłopotliwe, jak zmiana opinii o ludziach, którzy nam wyświadczyli przysługę.

— A gdybym jednak wyjechał i rzucił to wszystko! — szepnął nagle.

Nie, to doprawdy byłoby zbyt dziecinne, ulegać urojonym obawom w chwili, gdy był już blisko celu. Nic nigdy by nie osiągnął. Zresztą wkrótce nie będzie już miał pieniędzy. Żył tak od trzech miesięcy, bo za każdym razem, gdy nadarzała się jakaś okazja, ogarniał go lęk. Teraz najgorsze miał za sobą. Przyjechał do Vichy. Uzyskał to, o co prosił, musiał tylko czekać.

Wrócił do hotelu. Ale widząc list w przegródce na klucze, poczuł niepokój. Nie widział się z nikim, prócz ludzi z ministerstwa, i nikt nie wiedział, że się tu zatrzymał. Kto mógł tak szybko do niego napisać? To nie mógł być list dostarczony przez pocztę. Ktoś go tu przyniósł. Ale kto i dlaczego?

Wziął list. Nagle poczuł ogromną ulgę. Nie był zaadresowany do niego. Właścicielka hotelu musiała się pomylić.

— Zostawiła mi pani list przeznaczony dla kogoś innego — rzekł Bridet nieprzyjemnym tonem.

Właścicielka spojrzała na kopertę. Był zdenerwowany, przez chwilę bał się, że kobieta stwierdzi, że wcale się nie pomyliła, bo ten list jest jak najbardziej adresowany do niego. A kiedy w końcu powiedziała „przepraszam”, znów poczuł głęboką ulgę.